Nakład drugi po konfiskacie

NASZ WYRAZ

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

10 NR.

KRAKÓW
X - 1936
ROK III

GR. 25

Wapno z pieca Hoffmanowskiego w bryłach znane ze swej dobroci oraz wapno lasowane polecają

ZAKŁADY WAPIENNE: JÓZEF PALUSIŃSKI

SOSNOWIEC, B. PRUSA 8.

281

Obuwie i pończochy

Del-Ha

trwałe — tanie — wygodne

Olbrzymi wybór najnowszych modeli na sezon jesienny i zimowy.

Do nabycia:

KRAKÓW, Rynek 14 — Szewska 17,
PODGÓRZE, Bol. Limanowskiego 1.

266

Polecamy:



524



115

Prywatne dokształcające kursy

„Wiedza“ (10 m/m)

Kraków, ul. Pierackiego 14.

przygotowują na ustnych lekcjach zbiorowych w Krakowie, oraz w drodze korespondencji zapomocą przystępnie i wyczerpująco opracowanych skryptów, programów, tematów do:

1. Egzaminu dojrzałości gimnazjum.
2. Egzaminu z 6-ciu klas gimn.
3. w zakresie I-II. kl. gimn. nowego ustroju.
4. Egzaminu z 7-dmiu klas szkoły powszechnej

UWAGA: Uczniowie kursów korespondencyjnych otrzymują co miesiąc tematy z 6-ciu głównych przedmiotów do opracowania, nadto obowiązkowe egzaminy badają trzy razy w roku szkolnym postępy uczniów.

Wykładają wybitne siły fachowe. Opłaty niskie.

113

Kopalnia „Dorota“

produkuje węgiel kamienny pierwszorzędnej jakości.

282

Z powodu konfiskaty pierwszego nakładu niniejszego numeru i związanych z tym kosztów, nakład drugi ukazuje się na gorszym papierze, za co P.T. Prenumeratorów przepraszamy. Następny numer ukaże się naturalnie normalnie.

ROK III. LISTOPAD 1936. NR. 10

Nasz Wyraz

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

(REDAGUJE MŁODZIEŻ AKADEMICKA)

Mateusz Prusak

Łzy pod szkiełkiem.

»Należy przeto znajomość ludzi uważać za sztukę wyposażoną w dostateczną ilość narzędzi, ale także za równorzędną w gronie innych sztuk, z której pewna klasa ludzi, mianowicie poeci czynią bardzo cenny użytek«. Niech te słowa Alfreda Adlera usprawiedliwią obecność niniejszego artykułu w czasopiśmie artystyczno-literackim w oczach ludzi, którym tego rodzaju usprawiedliwienie jest potrzebne. Jest on mianowicie próbą oświetlenia z punktu widzenia »znajomość ludzi« wydarzeń, których jesteśmy świadkami, wydarzeń, wobec których »czysta« a nawet chemicznie czysta sztuka nie może być obojętna, choćby dlatego, że staną się one źródłem natchnień niejednego pokolenia. Jest on skromną próbą — o nosy czerwone, nosy demonstracyjnie chrząkające! — analizy i systematyki ludzkich łez: oddzielenia tych prawdziwych od falsyfikatów, od kropel cieczy zaczerpniętej z oceanicznego nocnika hipokryzji.

Krótko: chodzi o Hiszpanję. O jej prawdziwą aureolę męczeństwa i o fałszywą mokrą kryzę łez, któremi jest oblepiona, łez Czerwoniaków, Ikaców, biskupów, Pata, Otmara, starych dewotek i oenerowskich wybijaczy szyb. «Okrucieństwa czerwonych !... Barbarzyństwa !... Terror w Madrycie !« 5% blagi, 200% przemilczenia i przeinaczenia, jeśli chodzi o sprawki faszystów.

»Dobry Wieczór« ilustruje zezwierzęcenie czerwonych: Pod Oviedo wzięto do niewoli powstańca arystokratę. Arystokrata plunął milicjantowi w twarz. Milicjant powiedział: — Zawszeście pluli w twarz ludowi. — I zbił bohatera. Systematycznie, okrutnie, do krwi.

Załóżmy, że ten fakt istotnie miał miejsce. A oto drobne zdarzenie z Rosji z 1918 roku: Młoda, śliczna kobieta z dwuletnią córeczką przebywała samotnie we dworze. Oddział uzbrojonych chłopów, którzy brali odwet na obszarnikach za tysiącletnią niewolę, wtargnął do jej pokoju. Chłop schwytał dziecko za nóżki, aby nim cisnąć o ziemię. Mała w krzyk. Matka mówiła jej niewiarygodnie spokojne i szlachetne słowa: »Nie bój się, oni ci nic złego nie zrobią, to tacy ludzie, jak my.«

Chłop odstawił dziecko.

— Wszyscy krzyczeli, żeśmy zwierzęta, tyś jedna powiedziała: ludzie. Nic ci się złego nie stanie«.

I nikt z oddziału, który jeszcze kilka dni pozostawał we dworze, nie targnął się na bezbronną. Nikt nie ubliżył jej nawet zuchwałym żartem.

Zestawienie tych dwóch faktów obrazuje ludzki charakter ruchów rewolucyjnych. Robotnik i chłop walczy nietylko o zaspokojenie głodu, ale i o uznanie w nim człowieka, nietylko o zniesienie wyzysku i nędzy, ale i o zniesienie poniewierki i hańby, walka toczy się nietylko o wartości materjalne, ale i o związane z nimi walory poniekąd abstrakcyjne, będące wytworem ludzkiej kultury, pobudki jej należą do kategorii uznawanych ogólnie za szczytne. A jeśli metody walki są czasem ponad potrzebę bezwzględne, nie wolno się temu dziwić. Tu już nie etyka decyduje, decyduje fizyka. Decyduje prawo akcji i reakcji, wielowiekowy ucisk i zbrodnie kapitału dokonywane w czasie ostatecznej rozgrywki wywołują reakcję podwójną Kto jest Chrystusem, niech odmawia ludowi prawa do zemsty. Ale niech tego nie czynią fałszywe Chrystusy, którzy nie przeszli Golgoty, nie byli ukrzyżowani i nie zmartwychwstali.

Pobudki walczącego (w tym wypadku zaczepnie!) kapitału nie są tak ludzkie. W nich zasadniczą odgrywa rolę animalny pierwiastek żądzy władzy i posiadania, a nie ludzkie poczucie spólnoty. Milicjańci ludowi walczą o ustrój, w którym psychika musi się rozwijać w kierunku poczucia spólnoty, i już dziś czują solidarnie, już dziś wiedzą, że walczą o powszechne dobro. Uczucie to niszczy w ich psychice najbardziej zwierzęcy z ludzkich odruchów: instynkt samozachowawczy — świadczy o tem obrona Irunu i powrót niedobitków z Irunu na teren wojny domowej. Nie odmawiamy bohaterstwa kadetom z Alkazaru. Ale psychologia ich czynu była taka sama, jak pogardliwego splunięcia jeńca — arystokraty Była to straszliwa walka o uratowanie swego poczucia wyższości swoich przywilejów materjalnych, swego przywileju plucia ludowi w twarz. Tego rodzaju bohatertwo nie zasługuje na apoteozę. A druga strona medalu: okrucieństwa i barbarzyństwa faszystów. Po ich psychologiczne wytłumaczenie udać się trzeba chyba do Szekspira, odkrywcy łańcuchowości zbrodni.

Nie trzeba mieć skrystalizowanego marksistowskiego śwtatopoglądu, wystarczy ludzkie, uczciwe stanowisko, aby napiętnować tych, którzy w imię »ideałów etycznych« przeciwstawiają się ruchom wyzwoleńczym. W obronie frontu ludowego Hiszpanii zsolidaryzować się muszą wszyscy, którzy cenią w człowieku człowieka. Zsolidaryzować się musi młoda literatura.

W. Głuchowski

Syndykalistyczna Hiszpania.

Prasa Polska opisując wypadki hiszpańskie ogranicza się niemal wyłącznie do podawania komunikatów z frontów wojny domowej. Nic się prawie nie pisze w Polsce o wewnętrznych przemianach, dokonywujących się w Hiszpanii, t. j. o tym, co stanowi najciekawszą stronę zagadnień hiszpańskich.

Jak wiadomo wojna domowa w Hiszpanii toczy się pomiędzy rządzącą szeroką koalicją ugrupowań lewicowych o dość znacznej rozpiętości ideowej, a sprzysiężeniem wojskowych monarchistów i faszystów z pod znaku Falangi Hiszpańskiej. W skład rządowej koalicji lewicowej wchodzą następujące stronnictwa i organizacje zawodowe: 1) Partia Radykałów Socjalnych, z której wyszli prezydent Azana, przewodniczący kortezów Bario, b. premierzy Quiroga i Giral — stronnictwo lewicowo mieszczańskie, posiadające wielkie wpływy wśród inteligencji pracującej; 2) Partia socjalistyczna, dzieląca się na 2 odłamy: a) prawy — reformistyczny, reprezentowany przez dziś. min. lotnictwa Prieto i b) lewy — bardziej rewolucyjny, na którego czele stoi dzisiejszy szef rządu ludowego Largo Caballero; 3) Partia komunistyczna; 4) Anarcho-Syndykaliści z F. A. I, (Federation Anarquista Iberica), grupy zrzeszającej w Hiszpanii najbardziej rewolucyjne elementy, posiadającej wspaniałą tradycję rewolucyjną i wielkie wpływy w masach, szczególnie na terenie Katalonii. Poza wymienionymi partiami politycznymi rząd ludowy opiera się na dwóch organizacjach zawodowych robotników, a mianowicie: 1) centrali związków zawodowych socjalistycznych U. G. T. (Unia Generalna Pracy) i 2) związkach anarcho-syndykalistycznych C. N. T. (Konfederacja Ludowa Pracy), kierowanych przez działaczy z F. A. I.

Wyżej wymienione partie polityczne i związki zawodowe stanowią rozszerzony front ludowy wojny domowej. Przedtem, w czasie wyborów parlamentarnych w lutym b. r. i w okresie rządów parlamentarnych Frontu Ludowego, anarcho-syndykaliści stali na uboczu, nie biorąc w myśl doktryny anarcho-syndykalistycznej udziału w wyborach, pracach parlamentu i rządu opartego o parlament. Dopiero wybuch wojny domowej zbliżył ich do pozostałych ugrupowań Frontu Ludowego, z którymi wspólnie dokonywują prac nad zmianą ustroju społecznego Hiszpanii.

Pucz generalski zaskoczył bowiem wprawdzie całkowicie rząd madrycki, z drugiej jednak strony świadomość grożącego klasie robotniczej niebezpieczeństwa przyczyniła się do zacieśnienia więzów pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami lewicy, przede wszystkim zaś wciągnęła do aktywnej współpracy z rządem ludowym anarcho-syndykalistów i ich potężną organizację zawodową C. N. T.

Ustrój gospodarczy Hiszpanii, po półrocznym okresie rządów Frontu Ludowego nie uległ prawie żadnym zmianom. Rej w rządzie madryckim wodzili w okresie poprzedzającym wybuch wojny domowej radykali i umiarkowane — prawe skrzydło partii socjalistycznej. Reformy społeczne stanowiące program Frontu Ludowego podczas wyborów lutowych, dokonane być miały drogą bardzo powolnej ewolucji, obliczonej na długie lata. Majątki ziemskie (cały prawie obszar gruntów uprawnych w Hiszpanii należał do wielkiej własności), oraz fabryki, mające ulec uspołecznieniu, wzgl. upaństwowieniu, miały być uprzednio wykupione z rąk właścicieli. Nie dziw więc, że w chwili, gdy pokonana w wyborach lutowych reakcja, otrząsnąwszy się z przygnębienia, odważyła się na wywołanie kontrrewolucji wojskowej, cały przemysł i gospodarka rolna Hiszpanii znajdowały się jeszcze w rękach prywatnych posiadaczy, sprzyjających rokoszowi.

W tej sytuacji rząd ludowy ocalony został przez szybką akcję związków zawodowych, które na własną rękę uchwyciły kierownictwo produkcji przemysłowej, a w niektórych okolicach nawet rolniczej.

Inicjatywa wyszła od katalońskiej C. N. T., która już w 3-im dniu walki zdecydowała się wezwać robotników do uruchomienia wszystkich zakładów przemysłowych na terenie Katalonii, doszedłszy do przekonania, że uruchomienia przemysłu wymaga tak sytuacja na froncie wojny domowej, jak i dobry rozwój prac nad przebudową społeczną. W ciągu trzech dni następnych związki C. N. T. były w stanie uruchomić całą produkcję przemysłową na terenie Katalonii. Uruchomienie fabryk połączone było z przejeciem ich przez rady załogowe i delegacje fabryczne. Fabryki hiszpańskie zostały zatem z miejsca uspołecznione, a nie upaństwowione, co wybitnie odróżnia proces przebudowy gospodarczej i społecznej dokonywujący się w Hiszpanii od wzorów rewolucji rosyjskiej.

Anarcho-syndykaliści chcieli w ten sposób nietylko postawić rząd ludowy przed faktem dokonanym przejęcia kierownictwa produkcji przez robotników, ale także nie dopuścić do zbytniej wszechwładzy państwa, którą anarcho-syndykaliści w przeciwieństwie do komunistów uważają za szkodliwą dla klasy robotniczej.

Pomyślny przebieg eksperymentu katalońskiego wywarł wpływ decydujący na dalszy rozwój wypadków hiszpańskich. Z kolei i socjalistyczne związki zawodowe, szczególnie na tych terenach, gdzie działały wspólnie ze związkami syndykalistycznymi, zaczęły przejmować w swe ręce kierownictwo fabryk. Powołana przez obie centrale zawodowe komisja międzyzwiązkowa zajęła się uruchomieniem kolei i przejęciem ich z rąk kilku prywatnych przedsiębiorstw, eksploatujących przedtem koleje hiszpańskie.

Ponieważ jednocześnie, nawet jeśli chodzi o wojskowość, związki zawodowe uzyskały wpływ decydujący z powodu stworzenia oddziałów milicji robotniczej, których organizacja z konieczności przypadła w udziale związkom, ruch zawodowy robotniczy objął prawie całkowicie kierownictwo spraw państwowych republiki hiszpańskiej. Wyrazem tego było powierzenie szefostwa rządu madryckiemu przywódcy socjalistycznych związków (U. G. T.) Caballero, oraz wejście 4-ech przedstawicieli anarcho-syndykalistycznej C. N. T. do autonomicznego rządu katalońskiego po dłuższym coprawda ociąganiu, wywołanym anarchistycznymi skrupułami działaczy C. N. T. Wyrazem tego, jest także fakt, że dowództwo oddziałów rządowych na froncie asturyjsko-biskajskim sprawuje przywódca związku górników, Gonzalez Pena.

Nie ulega wątpliwości, że wpływ decydujący na linię rozwojową ustroju społecznego Hiszpanii wywiera hiszpański anarcho syndykalizm. Kierunek ten wykazuje na terenie hiszpańskim największy konstruktywizm i największą prężność ideową. Głęboka ewolucja od utopijnego anarchizmu bakuninowskich czasów do twórczego syndykalizmu dzisiejszej rewolucji hiszpańskiej, zwiększa z dniem każdym możliwości anarcho-syndykalistycznego ruchu hiszpańskiego Liczyć się z nim musi każdy, kogo interesują dokonujące się w Europie przemiany społeczne.

Jakub Sąwczak

Na wiosnę będzie lepiej.

Nad pryzmą tłuczonego szkła, pod ścianą domu Grzybacza zatrzęsło się słońce. Słońce skusiło dzieci Grzybacza. Lękliwie nawykały — po zimie — nagie stopy do chropawej ziemi. Ziemia była przemrożona, jak nogi dzieci.

— Widzisz, już się jajcyburki gzą — Gondek grzał na słońcu kulawą nogę i łatał worki do młyna; trzy grosze od łaty. — Zaraz .. Jasiek, Zośka, Julka... to trzy, Władek, Marta... to pięć... sześć, ten siódmy, hańten ósmy, Władkam widzioł jak szedł z workiem po szkło... wszystkie psiekrwie są. Ale jak toto przezipiało zimę? Chrystusie! ... Ani to na tem buta, ani nic. Latem jeszcze conieco zarobili, jak te brzuchate Bernery zaczęli skupować stare szkliwo a płacili 2 złote za meter. Zrazu im nawet nieźle szło, zauważył zawistnie, »bo cały kraj usiony był flaszkami z wódek, a tyla jajcyburków jak wyległo, to napycyli tego ze dwa metry dzień na dzień. Ale wnetki wyiskali każdy kąt, »odetchnął z ulgą,« i zaczęli plądrować po ludzkich strychach. Było ta potem marnie, bo marnie, ale było.

Gondek penetruje worek. Z worka unosi się tuman mąki.

— Ale zimą? Tyla co ta tego wągla ukradli na kolei na opoł. A kraść to oni już poradzą. Ho, ho... — mruczy nad pokracznymi ściegami.—Bo kto podkrodoł kury Grzywinej, jak nie oni? A zimnioki Walkowe? A okocki? Choćta po prowdzie tych okocków jo som pore podpiździł, ale co to kto mo wiedzieć. Oni co innego. Złodzieje regimenckie są i szlus.

Grzybacz wyszedł przed dom w niebieskiej koszuli i kamizelce ziemistego koloru. Policzek miał wygnieciony od snu. Dwururki spodni Grzybacza kpiły z rozwiozłych buciarów, zawieszone wysoko nad nimi. Stanął przed kopą szkliwa, namierzwioną szczerbami tłuczonych flaszek, brudnych szyb, łukami okopciałych szkiełek do lamp, nóżkami kieliszków, ampułek, fragmentami kryształowych kloszy, figurek świętych, rurek, lichtarzy, pająków kościelnych, słojów i rozlicznym marasem wyrobów szklanych ututłanych kurzem strychowym i brudem śmietników.

— Stulić mordy! — charmider dzieci uwierał mu w uszach.

— Bedzie tego siurmajsu ze sześć metrów — oszacował na oko ostro najeżoną stertę szkła i wydął dufnie wargi. — Sześć razy dwa to jest dwanaście złotych. Prawie wydoli za komorne i chleba bedzie na tydzień. Babka za skubanie pirzy dostanie piątkę. Jutro będą wybierać kartofle z kopców plebańskich, to pójde z Julką i zarobie też coś. Już ta będzie ka na co. Żeby ino bide ognać do jakiego czasu. Przyjdzie wiesna to sie może i robota jako ruszy, albo co. Na wiesne zawszeć bedzie lepi. Nima strachu. Aha... Bernery winni mi jeszcze za dwa metry szkła. Ho, ho...

— Franek skocz »namost« po tabak! — wygmerał z kamizelki kilka miedziaków.

— Zresztą i tak lada dzień wybuchnie rewolucja to wszystkiego bedzie dość — liczył na miedzianej dłoni miedziane grosiwo i odpowiadał głośno wyrzutom swego sumienia. — Co se nimom zakurzyć. Tyla mojego co kurzenie.

Gdyby to było dwadzieścia parę lat wstecz i gdyby Grzybacz nie widział wojny i od lat nie tkwił po pachy w nędzy, powiedziałby teraz pewnie, jak dawniej, kiedyto u matki podkradało się jaja z kurzych gniazd na tytoń i na przednowku sprzedawało się matce jej własne zboże, zagrzebane w czasie młocki w stóg siana, szło się potem do spowiedzi i był spokój — powiedziałby teraz pewnie na pocieszenie własnego sumienia: Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy. Ale dawno już uznał to za naiwność.

Gondek szperał łakomie za dziurami w workach wyłatanych już doimentu i mrugał małymi, chorymi oczkami. Wcale sobie nie krzywdował, że nie mógł się doszukać. Gondek umie postawić na swoim. Trzeba worek rozedrzeć w kilku miejscach. Potem załatać, a każda łata trzy grosze. We młynie i tak dziur nie rachują tylko łaty.

— Czemu się jeszcze szwendasz, nie idziesz ?— posłyszał podniesiony głos Grzybacza. Podniósł głowę z nad worków i zobaczył jego żonę prowadzącą za sobą Franka.

— Co se ty stary rachujesz ? — Twarz miała czerwoną. — Po tabak posyłasz a tu w domu omasty ani iskry nima — ucierała mokre ręce siwym fartuchem.

— No to co? Jest szkło to sie sprzedo i bedzie.

— Sprzedo sie, sprzedo sie — podrzeźniała, wytrząsajac rękami przed Grzybaczem, patrzącym w ziemię. — Ale nim się sprzedo to ci cheba tem szkłem zimnioki bede maścić.

— Kuś odemnie, Walerka, bo ci skuję pysk! Chce mieć tabak i szlus!

— Mnie twój tabak wisi zaprzeproszeniem. Franek, smaruj po szperkę.

— Ani mi się waż! — krzyknął Grzybacz za biegnącym chłopakiem.

Ale chłopak zdawał się nie słyszeć wołania ojca. Pędził w stronę miasta, jak gzący się byczek w skwarze południa.

Gondek mrużył oczy pod słońce. Ręka z co dopiero nawleczoną igłą sterczała mu nieruchomo nad rozerwanym workiem.

— Patrzcieno, Grzybaczka, zdo sie, zaś chodzi podbito. Niechżeto ręka Boska broni. Jak tu mieszkom dziesięć lot, tom jeszcze tej baby nie widzioł bez bandziocha—

poślinił palec i zrobił węzeł na końcu nitki. Kręcił głową z politowaniem, pochylając się nad szyciem. Najeżoną szczotką włosów, sprószoną mąką, kłuł słońce.

— Nimo co zimą robić, to sie wyleguje na babie. I to przy bachorach, bo ich przecia po śtyrech sypio na jednem łóżku. A taki Władek już cheba wszystkiemu rozumie...

Nawlekał znowu igłę i prostował przy tym kości.

Gdzie ten chłop mio jaki rozum. Natrzasko tych jajcyburków coniemiara, żeby latem deptały za szkłem, a zimą podkrodały się do piwnic. Inna rzecz, że babę ma śwarną, spojrzał na jej silnie rozwinięte piersi, rozłożystą miednicę i krew zapałała mu w twarzy.

Grzybacz obejrzał się na zafukaną żonę, trzaskając za sobą drzwiami i pożałowal tego tytoniu. Usiadł na podmurówce płotu. Łokcie wsparł na kolanach, na pięściach głowę łysą jak dynia i jak dynia masywną.

Jak uporczywa mucha nie odstępowały go słowa Wawry, który wczoraj tak hardo mówił o rewolucji; wszystko będzie nasze — tytoń, chleb, dziwki... Grzybacz już się widział w butach na kanapach pana burmistrza, które latem widywał przez otwarte okna. Kanapy były zarzucone śmiesznie małymi poduszkami. Wylegiwał się na nich burmistrz w gaciach i przeglądał książki z obrazkami.

Oblizuje palce z konfitur. Konfitury są ze spiżarni zakonnic, którą tynkował jesienią. Słoje wystawiono wtedy do sieni. Grzybacz najmniejszy słoik schował w zanadrze, ale zakonnice się spostrzegły, zleciały się, piszczały jak kawki, i słój odebrały. Nocą Grzybacz śpi z prawiczkami, córkami fabrykantów. Do domu nie będzie wracał bo i poco? Do tych pcheł skaczących po zaszczanych łóżkach? Ani mu to w głowie.

Gramolące się mu na kolana dziecko zapłakało rzeczywistością.

Grzybacz przypomniał sobie o swym spłaszczonym nosie, o brzuchu żony, i o bachorach czekających nad jałowymi ziemniakami i zawstydził się aż po końce uszów.

Spojrzał na rampę kolejową.

— Jakoś nie widać tego Franka. — Podjął dziecko na ręce i wyszedł na tor. — Sieją ten tabak dopiero, czy co?... — Ślina gęstniała mu w ustach z braku nikotyny. Ciało pałało gorączką.— I poślij takiego hycla ka poco... Ino on mi tu wróci.

Ale przeszło południe, i nie było ani tabaku, ani szperki, ani Franka. Nie było też i Władka, który zrana jak zwykle poszedł zbierać stare flaszki.

— Cosik się tam przytrafiło, widać — frasowała się Grzybaczowa. — Wyżryjno, stary, ku miastu, czy ta którego nie przejechało, abo co. Skoranie Boskie z tymi chłopokami.

Przestawiała bez potrzeby garnki na blasze i parzyła przy tym palce.

Grzybacz zarzucił bluzę na ramiona i wyszedł.

Trzeba dać ze dwóch chłopoków do terminu — myślał na drodze — bo w domu z nimi urwanie głowy a prefit żoden. To szkło, co przyniesie i tak coraz trudniej sprzedać a pono lada dzień przestaną skupować. A zresztą wyśnuchtali już ka ino jakie zdziebko. A na strychy nima co się zapuszczać, bo sie w mieście spenetrowali, że ludziska łażą za flaszkami i dają teraz poziór.

Coino Grzybacz skierował na most ku miastu, zaleciał mu drogę zdyszany Franek.

— Chodźcie, tato, — krztusił się łzami — Władka wzieni do śpitola.

— Nie może być! — zadzwoniło mu w uszach, jak dzwoniło szkliwo, które codnia Władek zsypywał z worka na stos szkła przed domem.

Franek ujął ojca za rękę, wiszącą jak kłoda.

— Władek tak woło za wami... Nie stójcie...

Zdało się Grzybaczowi, że brnie mulistym dnem bajora, oślizgłe wodorosty owijają się mu około łydek. Rozkraczał szeroko kabłączaste nogi i przestawiał je sztywno jak szczudła.

Bokiem dreptał Franek i mówił coś o flaszkach, o panu burmistrzu i o schodach, ale słowa te nie docierały do dna świadomości Grzybacza.

Gdy przyszedł do szpitala, Władek już nie żył.

Sanitarjusz podniósł okulary nad oczy, spojrzał na skamieniałą twarz ojca, wyprostował się i powiedział:

— Grzebał za flaszkami na strychu u burmistrza i burmistrz go nadybał. Chłopczysko chciało zwiać, ale schody były ciemne i bez oporęczenia. Potknął się, i wpadł z flaszkami w klatkę schodową: Bóg karze fest za siódme przykazanie — zsunął okulary na nos, i pochylił zeprzałą twarz się nad sterczącym mu w ręce papierem.

— I słusznie, — nadszedł na to szpakowaty lekarz i przynaglał zakonnicę, której kłapciaty, biały kwef rozczapierzał się nad ukropem, w którym rechotały instrumenty operacyjne. — Trzeba takich zawczasu odzwyczajać od lekkiego życia — powiedział z potępieniem w głosie.

Grzybaczowi na skroniach wykłuły się krople potu. Skurczył się, zmalał, osiadł w kolanach i kostkach.

Ocucił go zadzierzysty głos lekarza.

— Nima co stać. Trzeba iść po trumnę dla chłopaka i łachy jakie.—

— Magistrat mu trumny nie da bo okradł burmistrza, — pchnął, drzwi do sali operacyjnej. Przez otwarte drzwi wypadł świdrujący odór chemikalii.

Sanitarjusz spojrzał na niego bezradnie i poszłapał w ciężki cień kurytarza.

Pod wieczór Grzybacz sprowadził stolarza. Stolarz wydobył metr zza cholewy i zmierzył trupa. Gdy się wyprostował, twarz miał nabiegłą krwią. Nadszedł ich »szpitalny brat ostatniej posługi« gdy targowali się o cenę. Skłął ich, że stoją przy zwłokach w kapeluszach i wyciągnął wilgotną rękę po pięć złotych za obmycie trupa.

Grzybacz powiedział, że może być nie myty i pobiegł za wychodzącym na ulicę stolarzem. Stolarz zapinał płaszcz na pękatym brzuszku i rozglądał się za dziewczętami. Na uporczywe nalegania Grzybacza o kredyt, machnął ręką.

Do późna w nocy Grzybacz obnosił po ludziach swe nieszczęście i kołatał o pieniądze. Na nic. Ludzie stroili smutne twarze, ale gdy zapukał do kieszeni wyliczali ile to nieprzewidzianych wypadków wypłukało ich z pieniędzy, ile nieszczęść spotkało ich ostatnio; ta wychodzi zamąż, ten zachorował, tamta porodziła dziecko. Och, jaki ten miesiąc fatalny.

Wściec się można... Z całego serca, znacie mnie przecie, ale widzicie. Wszystkim bym odmówił, tylko nie wam. Od ust bym sobie odjął, no, ale trudno. Może innym razem...

Błąkał się potem ulicami i przeklinał, aby tak w tej chwili szarpnął się glob i strząsnął ze siebie hołotę ludzką. G... mu z ludzi.

Noc galopowała wiosną. Męczyła się chuć ziemi i chuć ludzka. Drzewom brzmiały pęki, kobietom sutki.

Do domu wrócił nad ranem. Kopnął psa, łaszącego mu się do nóg. Pies zdziwił się i zaskowyczał. Dzieci wytknęły rozczochrane głowy spod koców, jak młode kangury i pochowały je w milczeniu z powrotem.

Grzybacz zzuł buty. Buty ciężko upadły na podłogę. Na słomie przy piecu poruszyło się drobne, starcze ciało babki. Długo potem gderała babka, że tłuką się po nocach, jak Marek po piekle i nie dają jej spać. Grzybacz odpowiedział, że, o ile się jej nie podoba, to może iść w pierony i tłukł się uporczywiej.

Na stole w zaropiałym świetle lampy jełczały na talerzu zimne kartofle. Zrzędziły nad nimi muchy i potykały się o szkiełko lampy.

Grzybacz chciał odsunąć płaskie nogi dziewczyny, śpiącej na kufrze i usiąść na nim jak zwykle, ale kufer rysował się w świetle twardo i luto, jak kadłub trumny, a nogi dziewczyny sterczały nad kufrem, jak nogi Władka nad stołem w kostnicy. Obleciał go strach. Wykręcił światło. Światło spłoszyło cierpką wizję i ćmę. Muchy rozsypały się po izbie.

Kłuły go myśli o stolarzu. Stolarz woła pieniędzy. Nie da inaczej trumny

— Na dziwki draniowi potrza — pienił się Grzybacz. Wsparł głowę na nadmiernie rozrosłych rękach.

— Nigdy sie nie może tych dziwek nażryć. Ale nie bój sie, bo zjadła pica szlachcica.

Zgnębiło go zmęczenie. Powieki spadały ołowiem...

... Żatrajkotała przed oknami fura. Fura zatrzymała się przed pryzmą szkła. Kilku kanciastych chłopów obskoczyło pryzmę z łopatami. Powieźli szkło do huty... Coino Grzybacz ogarnął zwłoki Władka i wyjrzał oknem, zza szkarpu kolejowego wynurzyła się tasama fura natrzęsiona słomą. Kanciaści chłopi wydźwignęli ze słomy szklaną trumnę i wnieśli do izby.

Grzybacz ułożył zmarłego, obciągnął mu na sztywne nogi czarne pończochy, poprawił mu koszulę pod szyją i obłożył go kwiatami. Kwiaty były białe, jak twarz i ręce Władka i nieśmiało pachniały akacją.

W kciuki palców, sterczące nad złożonymi rękami trupa, Grzybaczowa wetknęła obrazek z modlitewnika.

W izbie tężał dławiący swąd świec. Do szyb pukały gwiazdy.

Pod oknem stali chłopi, którzy przywieźli trumnę. Skręcali papierosy i natrząsali się z kobiety, że daje chłopakowi w ręce paszport, aby Bóg wiedział kto on zacz i z kim ma do czynienia. Radzili jej nawet, by mu wetknęła pięć złotych w zęby, aby miał co Pietrowi wsunąć w łapę, gdyby upierał się przy tej kradzieży u burmistrza i nie chciał go dopuścić przed srogie oblicze Króla niebios. A jeden z nich krępy i ogorzały, który łudząco przypominał stolarza, przyskoczył do Grzybaczowej, poklepał ją po ramieniu i mówił:

Nie macie co nawet taszczyć chłopaka pod kościół, bo ksiądz i tak go nie pokropi. »Święcona woda nie jest dla złodziei«, powi, jak powiedział starej Bugajce, choćta stary Bugaj był taki fuszer, jako i Władek.

Łyskał przytem zębami i łapczywie pozierał na czerstwą smagłą twarz Julki. Dziewczyna kuliła się pod tym spojrzeniem na kufrze i krzyżowała ręce na piersiach pęczniejących pod wzorzystym stanikiem.

... Ocknął się Grzybacz na krzyk żony, grzebiącej grubymi palcami w książce do modlenia i psioczącej na dzieci, że powywlekały co nabożniejsze obrazki i niema co włożyć Władkowi do trumny.

Otarł rękaw zmoczony śliną, ściekającą mu z ust w czasie snu.

— Stolarz był?

— Ano był — powiedziała Grzybaczowa z żółcią w głosie.

I co z trumną?

— Coby było. Zrobiono.

— Wołoł piniędzy, pewnie.

— To sie wie.

Julka lękliwie czaiła się na słowa ojca na kufrze, w którym tęchł jej dorobek, kilka kiecek. Na kufrze tym sypiała nocą, a za dnia obierała kartofle. Teraz cerowała pończochy Władka w trzęsących się rękach.

W przepołowionych na środku głowy jej czarnych włosach skrzyło się padające przez szyby słońce.

— I co ty na to?

— Żeby przyszedł później, że może przyjedzie kto po szkło, to i pieniądze jakie bedą - rozłożyła kłopotliwie ręce.

— Ja, przyjedzie ci kto po szkło, czekoj... — zarzęził markotnie.

— Jakto, czemu mają nie przyjechać? Julka zadygotała. Pończocha ze szklanką upadła jej z rąk na podołek. Oczy miała zamazane, łzy.

— Temu, że już od wiesny szkła nie kupują.

Twarz Grzybaczowej zaciekła krwią.

— Kto wam to mówił? — Julka zerwała się z siedzenia. Parzyły ją pod czaszką słowa ojca. Skurczyła się naraz pod jego gromiącym spojrzeniem, jakby mówiącym: nos do ula, srajdo.

We drzwiach powiedział do płaczącej żony, że nie pozostaje nic, ino niech Julka zaniesie do szpitala przyodziewę, w jaką trzeba go ubrać i niech się dzieje co się chce.

W sieni natknął się na babkę. Babka darła w chudych palcach gęsie lotki i poruszała wargami. Podniosła na zięcia starą, pokurczoną twarz, po której zajadle tarasiło nienawistne życie. Oczy miała obiegłe wodnistym śluzem, wzrok zgaszony.

— Dostaliście jakie grajcary za skubanie?

— Ja, mojeśty. Derektorka zwożyła pirze i pedziała, że brakuje pół funta. Skunierowała mie ino i tela. O zapłaceniu ani mowy.

Grzybacz otwarł drzwi w bałas dzieci na podwórzu. Stara osłoniła drżącymi rękami rozsypujący się puch i ględziła nad nim: — A godałak Walerce nie bier, bo sie spostrzegom, ale ona ta zawsze swoim Bogiem — zacisnęła bezzębne dziąsła. Broda wysunęła jej się komicznie w ukos.

Na ławce pod oknami czubiły się dzieci Grzybacza i glan-

sowały buty Władka. Pluły przytem do pudełka z suchą pastą i do swych piegowatych twarzy.

W takich razach Grzybacz tłukł je zazwyczaj po karkach i pomstował, że go to niby cosik pokarowało takiemi zaporami od piekła, ale dzisiej wszystko to było mu obojętne. Co najwyżej miał ochotę stolarza grzmotnąć między te świdrowate oczy za jego łapigroszostwo. Znienawidził go każdą fibrą.

Obrzucił zjadliwym wzrokiem maras szkliwa i poszedł w stronę miasta.

Gondek jak zwykle grzał przed domem na słońcu kulawą nogę i łatał worki. Krecim wzrokiem pozierał na przechodzącego ciężkim krokiem zwalistego Grzybacza.

— Dobrze ci tak, — patrzało mu z oczu — bo ta u ciebie ani Boga ani nic. Mawiasz, że downi pomogoł Bóg, a teroz pomogo Stalin. Niechże ci pomoże teroz.

Zacierał w duszy ręce z radości; o jednego jajcyburka dziury w niebie nie bedzie, a ludziska odetchną po złodzieju.

Grzybacza ubodły te oczy. Zawrzało w nim do krzty. Ledwo się powstrzymał, aby nie wyłamać płotu, przywinąć sukinsynowi łeb workami i poprzetrącać mu kości.

Splunął tylko rzęsiście i przynaglił kroku. Zaciskał pięści.

Całemu światu wypowiedziałby dziś wojnę, wszystkich ludzi wydusiłby dzisiaj własnymi rękami. Nic w tej chwili nie zdołałoby go tak ukoić, jak rzężenie ludzi w jego kleszczowym uchwycie, z wychodzącymi z orbit gałkami oczu.

Około południa poniósł go ten wnętrzny huragan do domu stolarza.

Pod ścianą schło w słońcu wieko trumny dla Władka. Pokost drażnił nozdrza.

— Majster jest?

— Co was ta o majstra głowa boli, — wysoki kościsty czeladnik w niebieskim brezentowym fartuchu spojrzał znad świeżej trumny, którą wypychał heblowinami, odrzucił wtył hyrę płowych włosów i uśmiechnął się. Cwanie się uśmiechnął.

W grubym cieniu sieni zatrzeszczał wtedy głos siostry stolarza, głupiej Marty, okutanej w żółty zmiętoszony pled.

He, he majster pośli na strych z waszą Julką — zygała przytem Grzybaczowi palcem do oczu i kręciła ucieszne rozczochraną głową.

— Nie macie czem zapłacić za trumnę, to się mu wasza córka poszła oddać He, he, he.. Chodź, chodź! tu sa jej rzeczy.Hi, hi ...—podreptała przed nim w heblowinach bosemi nogami i pociągnęła go za rękaw do izby.

Grzybacz nie przykładał wagi do słów obrzękłej, prychającej Marty. Wiadomo, pieprzy się jej w głowie.

— Won! niedonoszony koczkodanie — wyszarpał rękaw z jej ręki. Ale oto przez otwarte drzwi spostrzegł na środku izby na stole buty, pończochy i wyprasowaną koszulę Władka.

Piotr Korzuch

Epos głodu i ziemi.

Literatura współczesnej Hiszpanii jest czytelnikowi polskiemu więcej, niż nieznana. Fakt, że tak samo dzieje się w Hiszpanii z literaturą polską świadczy zapewne o niejakim podobieństwie, między tymi krajami istniejącym, naturalnie ze społecznego i politycznego punktu widzenia.

Podobieństwo nie ogranicza się jedynie do liczby analfabetów, czy tej samej prawie odległości od głównych szlaków życia kulturalnego Europy. Najwięcej go w straszliwym zacofaniu stosunków społeczno-gospodarczych, no i dużo w krańcowym zaognieniu walk socjalnych.

Obecne wypadki w Hiszpanji — jak kto woli: groźne memento, lub radosna zapowiedź — są tego dowodem oczywistym. Dlatego, dzisiaj, szczególnie jest dla nas interesujący epos C. M. Arconada o głodzie i o ziemi [1], epos o jednej z najpiękniejszych, a zarazem najgorzej wegetujących prowincji hiszpańskiej, Estramadurze.

Młoda generacja hiszpańskich pisarzy i poetów, do której César M. Arconada należy, rozpoczęła swoją działalność literacką od namiętnego zwalczania wszystkiego, co nosiło cechy pseudoromantyzmu, co główny nacisk kładło na uczucia i namiętności.

Może było w tym trochę wpływów analogicznych prądów literackich Francji, może zaś niezupełnie jeszcze świadoma reakcja przeciw zbyt idiotycznym bzdurom »romantycznym«, którymi oficjalna literatura pieczołowicie otaczała rzekome piekno hiszpańskiego życia. W każdym razie zwalczano wszelkie przejawy sentymentów i orientowano się raczej w stronę jasności, prostoty i surowego krytycyzmu, narazie jednak bez potrącania o motywy socjalne.

Te cechy, obok rzadkiej pasji szczerości, znamionują debiut powieściowy p. Arconada, utwór o Debussym Przeciwstawia się tam wszystkiemu. co w Debussym widział sentymentalnego i delikatnego, szukając uparcie sposobu na jasną i czystą — »aseptyczną«, jak mówili ci pisarze hiszpańscy — metodę tworzenia

Wspomniana wyżej pasja szczerości prowadzi Arconadę w stronę zagadnień społecznych. Bo

— jak powiada Jean Cassou — »może sobie Hiszpan spacerować po śliskich szczytach czystej spekulacji: zawsze w tym, czy innym momencie zjawisko pewne przyciągnie jego spojrzenia, zatrzyma je i przerazi nieodpartą wizją: zjawiskiem tym jest istnienie Hiszpanii«.

Pierwszym płodem tego zwrotu jest powieść p. t. »Biedni przeciw bogatym«, napisana w 1932 roku, nazajutrz po proklamacji Republiki. Zbyt wiele jeszcze na niej ciąży grzechów przeszłości, zbyt mało tam jeszcze autentycznego, drgającego przeżycia, by ocena tej książki mogła wypaść dodatnio Sztuczny naturalizm przeciąża ją i nie pozwala wziąć pełniejszych akordów. Ale już tu, w momentach o bezpośredniej bojowości, słychać pierwsze tony prawdziwej epiki.

Dopiero jednak ostatnie dzieło Arconady »Podział ziemi« ukazuje nam wielkiego, na europejską skalę, artystę.

»Bezwątpienia wam, juhasom, jawiła się inna wizja głodu. Obraz zimy z niebem, oślepłem od śnieżyc, ze stadami wilków, wyjących wśród zlodowaciałych zasp, w pogoni za łupem krwi i mięsa. Albowiem nie znacie głodu tutejszego, który legł w słonecznym skwarze, głodu wyczerpanych, strupieszałych z nędzy i febry ludzkich ciał, leżących bezwładnie w skąpym cieniu przed drzwiami domostw, dogorywających śród dławiącej dusznoty, w rozżarzonym spokoju, pod nieskazitelnie lazurowym, pełnym pogody niebem« [2])

Estramadura — kraj niezmierzonego błękitu, kraj niezmierzonego głodu.

Rytmem starej, płomiennej romancy rozwija Arconada posępną i prostą opowieść o walce. Ukazuje przeraźliwy obraz: po jednej stronie olbrzymie dobra ziemskie »kacyków« i »senioritos«, zaniedbane, opuszczone, nieuprawiane. Ich wiekowej jałowości bronią stalowe lufy mauserów gwardii cywilnej, prawa, ustawy i pancerna pięść aparatu państwowego. Obok — pod tym samym nieogarniętym lazurem Estramadury — zwolna, w skwarze, w nędzy, w chorobach wymierają setki i tysiące chłopskich pokoleń.

Posępnie i ciężko, ale zawsze z namiętnością i spazmem człowieka, który żyje w opisywanej przez siebie akcji, wyśpiewuje Arconada osnuty na tym tle epos walki o ziemię.

Bohaterowie jego uciekają się do najbardziej prostego, naiwnego sposobu: poprostu gwałtem opanowują olbrzymią posiadłość swojego pana — by ją nareszcie zacząć uprawiać.

Z przejmującym liryzmem niezrozumiałym zapewne i przesadnym dla tego, kto jeszcze własnymi oczyma nie widział bezmiarów ludzkiej nędzy, kreśli scenę tworzenia elementarnego kolektywu i pierwszą orkę. W opisie tym, wśród skąpych, ciężkich słów zawarty jest ładunek emocjonalny o niezwykłej sile.

Naturalnie ze zdobyciem ziemi jeszcze nie tak łatwo. Natępują represje, wyroki, kary — ziemia zostaje zwrócona »prawowitemu« właścicielowi, chłopi wracają ku nędzy. Niebo nad Estramadurą nie zaciąga się chmurami, bo tam ono zawsze nieskazitelnie czyste. I w żarze rozpalonego powietrza dzieje się chłopskiego umierania— ciąg dalszy.

Książka nie zostaje zamknięta mrocznymi akordami beznadziejności. Na to nie pozwala jej epicki oddech i pewność niezachwiana autora, który wie, który widzi, jak na jałowej ziemi tych wszystkich państw świata, w których chłop głodny jest chleba i ziemi, wyrastają pokolenia bojowników.

Zapowiadając nowy okres walk, otwiera Arconada tym dziełem epokę nowoczesnego eposu w historii literatury hiszpańskiej.

1) Cesar M. Aconada: »Le partage des terres». Editions Sociales Internationales 1936. Edycja francuska.

2) Przekład mój, według wersji francuskiej — R. K.

KOLUMNA WEKTORÓW

Jerzy Kamil Weintraub

Fikcje

1. Nie warto wyczekiwać

Moi przyjaciele o chropawych łapach, o wieczor-
[nych oczach w kwadratowych twarzach
bliscy nieznajomi po czarnym peronie beznadziej-
[nie płyną.
I nie wiedzą poco i nie wiedzą o czem tak dzi-
[wacznie marzą
i dlatego codzień, kiedy cisza wschodzi, oddychają
[szyny
Panie zawiadowco, ślepia lokomotyw

na naszem pustkowiu świecą bardzo blado.
Nie strasz lokomotyw — czerwony, samotny
wyblakłą purpurą — śmieszny torreador.

Panie kasjerze, błyskiem okularów,
ciszą ciemną płynąc płoszysz drobne chwile
Nie patrz w ciemne okna. Za oknami szaro.
Ciemny mrok do szyby płaską twarzą przylegl.

Panie bufetowy, siedzisz za bufetem,
zapatrzony groźnie w wydarzenia dni
mniesz obrzmiałą łapą pomiętą gazetę.
Nie czytaj gazety.
Śpij.

2. Prymityw p. n. »Brednie«.

»Opowiem coś panu: — żył raz taki Francuz
[i był bardzo sławnym, wielkim wierszokletą.
Paweł miał na imię, Werlę na nazwisko. I ten
[Francuz marzył o takiej istocie,
coby piękna była,
coby miła była,
— i wykoncypował z wierszyka kobietę
Wie pan, dostrzegam pewne podobieństwo: chodzi-
[my codzień na wieczorny pociąg,
czekając kogoś, kto nie przyjedzie.
Rozumie mnie pan, panie Ślimaczek. Pan krzywi się?
— Prawdopodobnie bredzę.«

3. Idźmy spać.

Moi przyjaciele o chropawych łapach, o wieczor-
[nych oczach w kwadratowych twarzach
płyną po peronie, patrzą beznadziejnie i nie
[mówią nic.
Z prostym smutkiem, niby z rękami w kieszeni,
[idą zamyśleni o niczem nie marząc.
Odjechał zły pociąg. Nie przyjechał nikt.

Panie zawiadowco, ślepia lokomotyw
drgają bojaźliwie: muszą się nas bać.

Dowidzenia panom. Senni i samotni
Idźmy każdy w swoją stronę
— s p a ć —.

Piotr Korzuch

Cisza

O zmierzchu
miasto jest jak okręt
wypływa z dymów nad kominami
z chmur zachodu
krwawych i chorych
w mokrą noc.
Bulgoce śruba wieczoru.

My
pod pokładem
wierzymy jeszcze w busolę.

Mirosław Stefan Radecki

* * *

Dnie są pełne majaków:
Wśród coraz gęstszych cieni
Śladem wędrownych ptaków
Drogi szukamy zmęczeni.
Noce są puste i wrogie.
(Koty krzyczą jak dzieci).
Ugaś, Chryste, ten ogień,
Coś nieopatrznie wzniecił.

KOLUMNA LIRYKI FRANCUSKIEJ

Pierre Reverdy

Coeur à coeur

Nareszcie stoję
przeszedłem tam
a teraz za mną ktoś tam idzie

Drżałem
przed czarną ścianą w głębi pokoju
on też drżał
jakże przejść mogłem próg drzwi

Można krzyczeć
nikt nie usłyszy
na płacz
odpowie cisza

W ciemności twój cień znalazłem
spokojniejszy niż niegdyś ty
smutny w kącie
To śmierć dała ci ten spokój
lecz ty mówisz bezustannie
a ja chciałbym cię porzucić

Żeby wpuścić trochę wiatru
żeby przestrzeń pozwalała widzieć
Duszno
Sufit nad głową ciąży i odpycha
Gdzie pójdę, gdzie się podzieję
Za mało miejsca by umrzeć
Gdzie giną kroki, które słychać daleko
po tamtej stronie

Sam zostałem z tym cieniem

Noc zapada

Poeci

Głowa o zaczerwienionych oczach kryje się lękliwie
pod zielonym kloszem lampy. Muzyk nie porusza
[się; śpi.
Żeby zapomniał o nieszczęściu, grają na skrzyp-
[cach jego
odcięte ręce.
Schody prowadzące do nikąd owijają dom bez
[drzwi i okien.
Na dachu cienie poruszają się i rzucają w próżnię.
Spadają kolejno i żaden się nie zabija. Zaraz
[wracają
po schodach i zaczynają odnowa na wieki za-
[czarowane
przez muzyka, co gra na skrzypcach odciętymi
[rękami

Grandeur nature

Już widzę dzień przez powieki
podnoszą się firanki
biją na wietrze
lecz dzień spotkania z nim nie nadchodzi

Na stromej drodze stoi nagi wśród drzew
wiatr ze słońcem włosy mu targa
płomień otaczający głowę

O zmroku
wśród lotu nietoperzy
rozpłynął się powoli
pod dachem omszonym

Na skraju lasu zaraz klęknie kobieta.

przełożył Julian Rogoziński

TEATR

Mądry Jakub i przykry Szambelan.

»Głupi Jakub«. Komedia w 3. aktach Jakuba Rittnera.

Dziewczyna mówi, że męczy ją okłamywanie drugich. Jest lato i zachodzące słońce zamyka ziemię i niebo, jak wielkie, kuliste pudło. Jest młody, zielony las i w dole prowincjonalne miasteczko z poszarpanymi ulicami. Dziewczyna jest ładna i młoda. Jestem zdziwiony i pytam dlaczego okłamuje. Mówi, że gdyby powiedziała prawdę, zostałaby sama. Nie rozumiem. Przecież taka właśnie jaka jest, może śmiało dawać się ludziom. Powinni być jej wdzięczni za jej młodość z włosami i oczami z bronzu.

Ale nie tylko Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje; ludzie też tworzą drugich na swoje podobieństwo, są rozżaleni i źli, jeśli im to nie wychodzi.

Serdecznie radziłem dziewczynie, żeby zerwała z oszustwem i przypuszczałem, że będzie jej lepiej.

Bo, wiecie, z tym »głupim Jakubem« to wcale nie jest tak tragicznie.

Powiecie, że jest tak:

Szambelan wychował Jakuba, płacił za jego studia i dał mu stanowisko rządcy swego wielkiego majątku. Szambelan myślał, że Jakub jest jego synem i chciał go adoptować. Szambelan »wziął« od Prezesa Hanię i utrzymywał ją w swoim domu. Jakub kochał Hanię i Hania obiecała mu się, jeżeli zostanie spadkobierczynią Szambelana. Jakub dowiedział się, że jest synem doktora i przez swój nałóg mówienia prawdy traci łaski Szambelana i Hanię.

Ale pomyślcie tak:

Hania, córka fornala, podźwignięta z nędzy przez Prezesa i »uszczęśliwiana« przez Szambelana, choruje na przerost ambicji. Jeśli wierzyć Adlerowi (w tym wypadku jesteśmy skłonni mu wierzyć) jest to przykra choroba, nie oszczędzająca nawet silnych uczuć. Przykład: Hania sprzedaje swoją miłość Szambelanowi.

Pracę, co wypełnia Jakubowe życie, zatruwa Szambelan. Stary nie chce umierać bez potomka. Nie żeni się w obawie przed śmiesznością. Szuka więc w młodym dowodu szlacheckiego pochodzenia. Sumienne spełniane obowiązków oczywiście nie wystarcza, bo to każdy cham potrafi. Więc spekuluje na objawy własnej, błękitnej krwi w synu, który nie był jego synem.

To też Jakób nie wydaje mi się tragicznym. Porzucenie zabazgranego domu Szambelana jest jasną chwilą jego życia.

Bo cała »tragiczność« a raczej »przykrość« tej komedii chodzi starczymi krokami Szambelana. Dla niego wszyscy ludzie są »niesympatyczni«. Jest w tym dużo zniechęcenia do świata człowieka, który wyżywał się tylko w jednym kierunku, poświęcał wszystko dla »liczenia« i dopiero na stare lata spostrzega, że nie daje mu to zadowolenia. Jest w tym dużo nienawiści i pogardy do środowiska, w którym się znalazł.

Ale to środowisko...

Gdyby Szambelan był tak sobie, przeciętnie zamożnym jegomościem, nie nazbierałby koło siebie tyle hołoty. Żyłby zgorzkniały i zły, ale nie byłoby nieszczęścia. Przykrość zaczyna się właśnie dlatego, że staruszek jest bogaty, a nawet zbyt bogaty. Dlatego ściąga, jak świeca ćmy, wszystkich »ubogich krewnych«. Jak wiadomo, to nie jest miłe. Tragedia jednak zaczyna się, gdy Szambelan szukając jakiegoś przyjemniejszego człowieka, głupio się myli i zakochuje się w Hani.

Ale to jest tragedia Szambelana i on właśnie, nie Jakub, jest beznadziejny. Takim go zrobił p. Junosza Stępowski. Gorzko i doskonale.

P. Burnatowiczowi nie mogliśmy uwierzyć, że Jakub nałogowo mówi prawdę; wyglądało na to, że się wygłupia. P. Pawłowska w pierwszym akcie umie się śmiać ładnie, co wcale nie jest mało ważne, w następnych jest zbyt ckliwa, jak na to, żeby być tragiczną. P. Klońska grała Martę, jak p. Klońska; zawsze ta sama. Teofila p. Fabisiak. Reżyserował p. Nowakowski.

aka.

Plotki o Desdemonie.

»Otello«, tragedia w 12 odsłonach Wiliama Szekspira.

Można by napisać:

że teatr krakowski pokazał nam młodym »Otella«;

że jeden z najlepszych dramatów Szekspira po długiej przerwie przypomniał się starym;

że jeden z największych pisarzy ludzkich przeżyć i przeczuć opowiedział nam raz jeszcze, jak to czynił przez przeszło trzy wieki, o gryzącej zazdrości i zawiści, przenikającej wszędzie swym jadem.

Ale . . .

Niewiele przed dwunastą ludzie wracali z teatru. Zimny wiatr skrapiał twarze niewidzialną wilgocią. Jeden pan, który stał na ulicy, mówił do drugiego, który stał w oknie. Okno było wysoko i pierwszy pan mówił głośno. Było go dobrze słychać, kiedy krzyczał:

— Nie masz pojęcia, jaka to drewniana piła, ten »Otello«!

Ludzie, którym było zimno i wracali z teatru, zrobili mu owację. Śmiali się i powiedzieli, że to jest prawda.

Bo p. Frycz nie uratował »Otella«. Oczywiście chodzi mi o trupy. O czterech nieboszczyków i dwóch ciężko rannych. Zanim pomyślimy, jakby z tego wybrnąć, chcemy stwierdzić, że dla widza jest taka masakra,ześrodkowana w ostatnich odsłonach, nie do zniesienia na poważnie. I przez to tragedia traci bardzo wiele. Stosunek patrzącego na te sprawy do nich właśnie może być, myślę, dwojaki: albo się bierze rzecz serio i wtedy jest właściwie w porządku. Tragedia jest tragedią a normalny, niehartowany w widoku umierających człowiek, wychodzi z teatru chory i długo, długo nie może zasnąć w nocy. Taka właśnie jest reakcja dzieci i dlatego, na szczęście, nie widzieliśmy ich na premierze.

Dla człowieka, mającego mniej wyobraźni a więcej krytycyzmu, jakiego nazywamy zazwyczaj „dorosłym", taka postawa jest niemożliwa. Tem bardziej, że same sceny śmierci są zrobione po »operowemu«. Chyba już wiecie o co chodzi.

Ale, pomyślmy zresztą, że »człowiek dorosły« uwierzy. - Znałem chłopca, który miał wiele przykrości, nie teatralnych, ale swoich, własnych. Wkońcu chłopiec ten począł się śmiać i śmiał się długo, chociaż pewnie wiedział, że wszystkim obecnym było bardzo źle.

I to jest drugie wyjście z przykrej sytuacji. Uwierzy, czy nie uwierzy, a będzie się śmiał.

W czasach, w których pisał Szekspir, potrzeba było może aż czterech trupów dla widzów. Może wtedy dopiero «wyżywali się». Może to było owe arystotelesowskie „katharsis". Już Norwid, który mimo całej reklamy i ostrej krytyki w wielu wypadkach przeczuł przyszłość, a więc był wielkim poetą, myślał, że dość przekonywującą jest „biała tragedia", dramat bez trupów. Dzisiejszym ludziom wystarczy jeden trup, lecz za to porządny.

Mówmy jednak poważnie. Można by wybrnąć z tego bajora krwi, gdyby aktorzy mniej się zgrywali, traktowali swoje «przebijanki» (oczywiście mieczem) mniej serio i z pewnym dystansem. Narzuciliby widzom taki stosunek do rzeczy, jaki się ma, słuchając dziadkowej opowieści o pradziadowym morderstwie i ucieczce na Ukrainę.

Bo «Otello» oprócz krwi wylanej na deski sceny, ma dość teatralnej krwi i żywotności. Oczywiście dzięki postaci Jagona i jego plotkom. Tak. Właśnie plotki o Desdemonie dzisiaj są ciekawsze, niż wyblakłe «studium zazdrości», jak się to zwykle opowiada. Intrygi chorążego są dla nas prawdziwsze, niż tamto wszystko. Zwłaszcza, gdy intryguje p. Karbowski. Bo to jest bardzo dobry aktor.

P. Junosza-Stępowski, zrobił z Otella bardzo dużo. Nie jego to wina, że nie dało się zrobić więcej.

Cały zespół grał bardzo dobrze, oprócz p. Sucheckiej, która jako Desdemona nie miała ani warunków, ani nie mówiła uczciwie.

Dekoracje p. Frycza bardzo ładne.
Przekład p Paszkowskiego bardzo brzydki.

aka.

FILM

Uwagi o filmie „Pasteur".

W numerze 8-9 »Naszego Wyrazu« p. Pitera zajął się filmem p. t. »Pasteur« wyrażając pogląd, że jest on »doskonałym filmem amerykańskim«. Jest to pochwała względna boć co do jakości owej amerykańskiej, produkcji zdania są przynajmniej podzielone. To też nie będę polemizował z p. Piterą jeżeli wypowiem parę krytycznych uwag o tym filmie ze stanowiska przeciętnego widza, nie bywającego (jak p. Pitera) w studiach filmowych; a zatem mniej zważającego na techniczną doskonałość filmu, bardziej na jego wartość ideologiczną, do której wszakże »Pasteur« ma pretensje.

Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że omawiany film jest świetnym technicznie (reżyseria, czyli gra zespołu, gra jednostek, efektowność scenariusza, zdjęcia. . .) Jest też w stosunku do innych bardziej wartościowym w temacie, starannicj opracowanym etc. Godzien jest uwagi choćby i dlatego że wywołał wielka wrzawę, złożoną z samych pochwał. Zadowolenie to jest słuszne ale powierzchowne. Recenzje pochwalne na cześć »Pasteur« są jakby wahające. »Kino« pisze: „w filmie tym . . . (następują pochwały) . elementy dydaktyczne górują wybitnie nad artystycznymi . . ." Dr. L Gross w I. K. C: „. . . fragmenty z życia Pasteura, tak, jak, się obie wyobraża wielki reżyser amerykański . . ." Inne recenzje też są w niektórych miejcsach wstrzemięźliwe. Jaki był cel nakręcenia filmu ? (idzie o cel ideologiczny) Paster występuje nieustannie w roli nauczyciela. Byłże to więc cel wychowawczy ? Bezwątpienia tak. Ale to nie wystarcza. Pasteur był geniuszem nauki i jako taki mówi nietylko słowem, lecz pracą. A nawet wartość moralizatorska jego słów jest dla nas niczym w zestawieniu z analizą jego twórczości i jego osobowości.. Co nam pokazano z twórczości Pasteura, jak naświetlono jego osobowość? Widać odrazu, że twórcy filmu nie starali się dać widzom materiału historycznego o Pasteurze. Mniejsza o to. Jasnym jest, że dla celów filmowych musi się uwzględnić tylko wybrane sceny, wolno nawet fakty zmieniać, uzupełniać etc ze względu na fabułę filmu, lub ze względu na koncepcję ideologiczną. Fabuły w filmie prawie nie było (co i dobrze). Jakaż więc była koncepcja postaci Pasteura? Poco właśnie tego człowieka wzięto pod uwagę, poco te właśnie sceny wybrano? Rozważmy. Pomyślmy o kolosalnym wszechstronnym znaczeniu Pasteura. Z jego osobą wiąże się n. p. sprawa stosunku religii i religijności do nauki. Dla Pasteura zagadnienie to miało specjalną wagę. On to walczył z teorią samorództwa bakterii, a więc bronił idei stworzenia. Pobożność jego jest nietylko przysłowiowa, ale wchodzi w podręczniki szkolne. Wolno ją chwalić, można zganić, ale nie wolno o niej zapominać. Pominięcie tej sprawy i pominięcie wyrażenia swego sądu o niej jest tchórzostwem lub płytkim niedbalstwem.

Epokowość Pasteura polega na tym. że umiał stawiać nowe zagadnienia, że tworzył dzięki fantazji artystycznej (był niegdyś malarzem) wspaniałe nieoczekiwane teorie; często były fałszywe ale to nie zmniejsza ich zapładniającej wartości. Gdzież zniknął w filmie geniusz Pasteura? Gdzież podziała się cała jego praca twórcza, z której nam nic nie pokazano. Zniknął cały niepokój twórczy tego uczonego, który mu kazał prowadzić tysiąc prac naraz.

Treścią filmu „Pasteur" — treścią znikomą, ale wiążącą sceny — była walka bakteriologa z dr. Charbonnetem, człowiekiem głupim (w filmie), intrygantem, szantażystą. Takie poniżenie przeciwników bohatera poniża i jego samego a nagrodę, którą otrzymuje z ich rąk, czyni bezwartościową. W rzeczywistości przeciwnicy Pasteura operowali przeciw niemu prawdziwymi argumentami, często słusznymi.

Nie pokazano nam walki Pasteura z naturą czyli z własną niewiedzą, ale pokazano nam osobistą walkę człowieka z człowiekiem. Do tego celu lepiej służą filmy n. p z Tomem Miksem Pamięć Pasteura to poniża. On był powołany do większych rzeczy.

Konkludując: twórcy filmu „Pasteur" zmarnowali temat obrony, dając. by użyć porównania, zamiast kryształu szkiełko, równie jak on błyszczące, ale tylko szkiełko; że mimo tego coś z Pasteura żywego w filmie zostało, to jest zasługą osobowości, zbyt silnej, by dała się zniszczyć i zasługą Muniego. Szkoda, że publiczność tak pobłaża amerykańskim filmowcom i hojnie wynagradza pieniężnie i moralnie tandetę. Już przeczuwamy, jak przemysłowcy filmowi będą przerachowywali wartość życia innych, poza Pasteurem, geniuszów — na dolary.

Parę szczegółów: Amerykanin uważa, że wielkość nie da się pomyśleć bez elegancji Pasteur jest ondulowany i wypomadowany; ubranie ma zawsze jak z igły (z wyjątkiem jednej pelerynki), „motylka" śnieżny gors, wysoki sztywny kołnierzyk. Sądzę, że przy pracy wśród brudnych wściekłych psów inaczej się człowiek ubiera.

Skąd Pasteur wziął takie kolosalne laboratorium? W rzeczywistości miał tylko parę ciasnych pokoików. Skądże taki wspaniały szpital w Paryżu w tych czasach, jak ten, w którym leżą Rosjanie Wtedy nie bielono zapewne tak ścian, ani tak wielkich okien nie robiono.

Jakże słabo umotywował scenarzysta wezwanie Charbonneta do połogu, kiedy wszyscy asystenci Pasteura byli wtedy lekarzami. Jakże słabo jest umotywowana przemiana charbonneta, gdy oddaje hołd szczepionce przeciw wściekliźnie; wszakże Rosjanie jeszcze nie uratowani. — Tych i innych niestaranności można było uniknąć

Estreicher Zygmunt.

PRASA

„Kamena".

Nr. 1 (31) miesięcznika literackiego »Kamena« rozpoczął czwarty rocznik wydawnictwa. Miesięcznik ten wychodzi już od lat trzech w Chełmie Lub. pod redakcją znanego tłumacza poezji rosyjskiej i poety, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Poziom pisma równie wysoki, jak wielka niepopularność tego pisma. Ale jest to, niestety u nas, bardzo częste zjawisko. Często popularność jest odwrotnie proporcjonalna do poziomu, a poziom »Kameny« jest bardzo wysoki.

Gdyby jakiś antolog zainteresował się trzema rocznikami »Kameny«, mógłby z powodzeniem skompilować antologię poezji europejskich. Każdy numer bowiem przynosi kolumnę poezji obcej. Doskonałe tłumaczenia Kazimierza Andrzeja Jaworskiego (liryka rosyjska, a zwłaszcza piękne tłumaczenia z Jesienina), Mieczysława Jastruna, Stefana Napierskiego, Antoniego Madeja (autora znakomitych przekładów z poezji czeskiej, przede wszystkim Otokara Brzeziny) i innych składają się między innymi na treść trzech roczników tego pisma.

Jeżeli chodzi o twórczość oryginalną, spotykamy tu niemal wszystkich poetów polskich, zarówno najmłodszych, jak i starszych, przyczem podobnie, jak »Okolica Poetów«, »Kamena« również zerwała z »systemem« mafji, kapliczek i klik literackich, otwierając swoje łamy dla wszystkich niemal poetów, biorąc pod uwagę poziom ich utworów, a nie firmę i nazwisko. Dotychczas w »Kamenie« drukowali między innymi następujący pisarze: Józef Czechowicz, Stanisław Czernik, Marian Czuchnowski, Tadeusz Hollender, Kazimierz Andrzej Jaworski, Józef Łobodowski, Stefan Napierski, Julian Przyboś, Bruno Schulz i inni.

Niepopularność tego miesięcznika o tak wysokim poziomie wydaje się z jednej strony dziwną, z drugiej zaś w naszych warunkach jest raczej zjawiskiem naturalnym, u nas, gdzie poetów czytają tylko poeci i krytycy, gdzie poezję uważają nawet niektórzy za »chorobę umysłową«, o czym świadczy jeden z głosów prasy o »Kamenie«, gdzie lokalne pismo pisze, że »Całe szczęście, że« nasza »stolica« posiada odpowiedni zakład, który w razie przybrania niebezpiecznej dla otoczenia i samych pacjentów formy może przyjąć na kurację tych nieszczęśliwców, chorych na »odrodzenie poezji polskiej«.

Taki jest stosunek ogółu społeczeństwa do poezji, zwłaszcza do poezji awangardowej, której piętno nosi u nas już każdy niemal wiersz, a która nie przeszła jeszcze do lamusa, jak tradycjonalna poezja skamandrycka, którą się już oficjalnie włącza do historii literatury. Miejmy tylko nadzieję, a nawet bądźmy pewni, że ci literaci, którzy współpracują z »Kameną« i ta garstka przyjaciół, która ją popiera, przyczynią się do wzbogacenia kultury polskiej, co niestety dopiero jest widzialne przez ogół w odpowiedniej perspektywie czasu.

Jerzy Kamil Weintraub.

„Sygnały".

(kk) Zawieszenie lwowskiego miesięcznika »Sygnały« zwróciło uwagę prasy polskiej. Niestety wiadomość ograniczała się do krótkiej notatki, która podawała jako powód: »nieprzestrzeganie zgłoszonych periodycznych terminów ukazywania się«. Było to zdanie dziwnie zagadkowe. Ogólnie nie wiele się wie o takich zakamarkach ustawy prasowej — no, a wprost trudno przypuszczać, że może być przekroczeniem ustawy opóźnienie w wydaniu numeru. Możnaby jeszcze zgodzić się na karalność zbyt częstego wydawania. Ale, jak wynika z listu Zespołu „Sygnałów", zamieszczonego w »Wiadomościach Literackich«, chodziło tu o opóźnienie. I w tym wypadku pretensje ustawy są conajmniej dziwne. Jak wiadomo, czasopisma litarackie nigdy nie mają stałych źródeł dochodu, z funduszami z reguły bywa krucho. Numer wychodzi wtedy, gdy są pieniądze. A tych nie dostarcza Starostwo Grodzkie. Nie utarł się jeszcze taki zwyczaj.

Tymczasem po dwutygodniowym »areszcie« ukazały się „Sygnały". Po ogólnikowym wyjaśnieniu i zapowiedzi powrócenia do tej sprawy w najbliższym numerze następuje charakterystyczne i dające wiele do myślenia:

Ostrzeżenie

Ostrzegamy, że wszelkie kłamstwa, oszczerstwa i denunciacje, rozgłaszane ustnie lub drukiem o »Sygnałach« lub o ich współpracownikach, będziemy ścigać sądownie.

Domysłów zaczynających się od tego, że to przecież tylko pretekst, ta nieprzestrzegana periodyczność, może być bardzo wiele. Najprostszy naturalnie, to ten o forsie z Moskwy. Bardzo wielu ludzi w Polsce wierzy w taką forsę. Dla tego bywa u nas nieraz tak głupawo.

Poczekajmy na następny numer »Sygnałów«.

Nacjonaliści.

(kk) »Bunt Młodych«, reprezentujący najbardziej jeszcze „sympatyczny" nacjonalizm polski, nie po raz pierwszy rozprawia się z »Obozem Narodowym«. Nie jest to trudne, zwłaszcza dla pisma tak dobrze postawionego. Bardzo trafne określenie i wyjaśnienie polskiego ruchu narodowego, jaki reprezentuje endecja, daje S. Kisielewski w 18 nrze tego pisma;

...Chciałbym zanalizować pokrótce motywy psychologiczne młodej endecji na tle naszego temperamentu narodowego. Gdyż w istocie motywy te są — polskie, arcypolskie. Wymieńmy je pokrótce; będzie to: niechęć do powolnej »organicznej« pracy, do ewolucji — skłonność do pohopnych syntez i rewolucji; zamiłowanie do romantycznych, konwencjonalnych schematów, do mistycyzmu, upodobanie w legendach, mitach i wielkich słowach, niesamodzielność, brak wiary w możliwości własnej, oryginalnej samodzielnej polityki — stąd pęd do naśladowania cudzych schematów; przesadny kult negacji, opozycji, buntu — niechęć do stanowiska pozytywnego, instynktowne ocenianie tego stanowiska jako niższe, płaskie, nieciekawe. A przytym wszystkim absolutna pewność siebie, temperament, bojowość i — bądźmy sprawiedliwi — spora doza odwagi. Zaiste — są to wszystko cechy polskie...

...Nie lubimy prozaicznego, codziennego zmagania się z małymi trudnościami i niedogodnościami— wolimy koturny i wielkie słowa, wolimy stworzyć sobie romantyczny a tak konwencjonalny schemat walki z jakimś jednym urojonym demonem (Żydzi), który symbolizuje nam wszelkie zło i trudności; zwalczyć tego demona — i już sprawa Polski jest ocalona i wygrana...

Jednak kij ma dwa końce, a nacjonalizm jest nacjonalizmem. Nikt nie będzie zapewniać, że światopgląd »Buntu Młodych« nie podlega w znacznym stopniu tym samym czynnikom psychicznym. I kto wie, jakby wyglądał jakiś nowy anty. .izm w interpretacji »B M «, z założeniem, że ma to być ideologia dla mas. Co do szukania demonów, to słyszeliśmy już o wyprawie na Rosję, jako jedynym dostępnym dla Polski szczęściu. A to przecież wcale nie gorsze od wyrżnięcia Żydów.

Z PRASY FRANCUSKIEJ

Obce Niemcy! przerażające i pociągające Niemcy.

Pierre Daye tak pisze o Niemczech pod wrażeniem kongresu w Norymberdze (*Je suis partout*, 26,IX, 36):

Uwielbienie prawie religijne pracy i wszelkich jej symboli: rydel i złote kłosy na ołtarzu, z stóp którego składa się wawr yn przewiązany szkarłatem.

Muzyka organów. Chóry. A także mnóstwo samolotów i armaty. Kadzidła i dzwony i modły Führera do Boga. Tysiące młodych pracowników uzbrojonych w łopaty, które poruszają się w słońcu równoczesnymi błyskami. Czarne uniformy i straże w hełmach. I kobiety z jasnymi warkoczami, w haftowanych kostjumach, przybyłe z Bawarji lub z portów bałtyckich, o naiwnie błękitnym połysku porcelanowych oczu. Muzyka Wagnera i pomieszane tematy z Zygfryda, Walkirii i Okrętu - Widma. I także burzliwe przemówienia Goebbelsa, obrzydzające światu bolszewizm i Żydów. Pewnego rana, w ogromnej, opiętej czerwienią hali, apel do czterystu umarłych za sprawę. A wreszcie krzyk dumy i radości Führera, pozdrawiającego powstanie »swojego ludu..«

Obce Niemcy! Przerażające i pociągające Niemcy! Nowi luzie. Nowy duch. Nowy świat, który się teraz właśnie rodzi... Czy możemy go zrozumieć?

Myślę, że można zrozumieć, jak ten »nowy świat« powstaje, trudniej porozumieć się z zamieszkującymi go ludźmi, a najtrudniej, dla tych, którzy cenią jakąkolwiek niezależność intelektualną i etyczną, wzbudzić w sobie obok podziwu dla niego, sympatię.

Historia pięciu kłamstw.

André Tardieu pisze o dewaluacji franka (Gringoire, 2,X,36):

Oto frank został zdewaluowany o trzecią część przez front ludowy. Oznacza to, że ten frank, który w 1914 r. był wart 100 centimów i 20 cent. w ostat mies. będzie odtąd wart 13 cent. Oznacza to, że kapitał francuski, przeliczony na franki, zmniejszył się niesłychanie. że niedawna pożyczka, podpisana przez ludność na kwotę 5 miljardów i zamknięta na 2 dni przed dewaluacją, będzie warta... 3 miljardy. Oznacza to wiele nędzy i kłopotów dla miljonów oszczędnych drobnych właścicieli, robotników, urzędników i emerytów których środki zmniejszyły się trzykrotnie.

Dotknęło to przede wszystkim tych Francuzów, którzy nie kupili dolarów, ani funtów. Ludzie ci mogą myśleć, że isięchokrada. Stwierdzenie tego sprawiłoby im ulgę, lecz nawet to nie jest im dane, ponieważ p. Blum broni swej niewinności pięcioma kłamstwami.

Pierwsze kłamstwo.

Pp. Blum, Herriot i Thorez twierdzili, że dewaluacja byłaby szaleństwem, kradzieżą i bankructwem, któreby pociągnęło za sobą inne.

Drugie kłamstwo.

Pp. B., H. i T. powiedzieli ludowi francuskiemu: Odbierzemy ci 33 fr. na 100, dewaluując pieniądz, lecz zrobimy to, by ci pozwolić należeć do wielkiego, międzynarodowego dzieła zrównania i uspokojenia pieniężnego, do pokojowego układu finansowego między trzema demokracjami!

Zrównanie, ponieważ jest zrównanie ...By stanąć równo w szeregu, nie wolno się poruszać... zrobiono z franka monetę, która się »porusza«, by go »zrównać« z pieniądzem zagranicznvm, który »rusza« się jeszcze bardziej.

Trzecie kłamstwo.

Od sześciu dni powtarza się by usprawiedliwić to »zrównanie«j że jest ono owocem polityki prowadzonej od czerwca przez taną dyplomację i przedstawicieli mię,

dzynarodowego kapitału. To odstępstwo od znanych zasad polityki socjalistycznej, nie uznającej tajemnicy i kapitału — zostało proklamowane przez samego p. Bluma: »Tu nie chodzi o sdosób wyjścia narzucony przez taką, albo inną trudność, lecz o stały system«.

Co myśleć o rządzie, który we wrześniu 1936 r. potwierdza, że od czerwca przygotowuje dewaluację i który w tym samym czerwcu piętnował ją z trybuny?... p. Blum nie chciał od »zrównania« niczego, prócz alibi... wprowadził dewaluację, ponieważ jego kasa była pusta.

Czwarte kłamstwo.

Od 1932 r. do r. 36 p. Blum i jego przyjaciele starali się przekonać naród francuski, że zakpiono z niego radząc mu mieć budżet w równowadze i ograniczyć wydatki.

Raz jeden po dojściu do władzy musiał p. Blum zastosować swoje czyny do tego, co głosił.— Odrazu zamieniono system Turgot'a na system Law'a.— Budżet i pieniądz zostały poświęcone dla tego, co nazywano ekonomią, a co było poprostu demagogią.

Piąte kłamstwo.

Front ludowy spodziewa się po dewaluacji, lub udaje, że się spodziewa, odrodzenia handlu zagranicznego, powrotu do kraju kapitałów wywiezionych, napływu kapitałów obcych, zniżki cen kupna i ustalenia cen detalicznych.

Jest to poprostu szaleństwo

Dewaluacja, która jest zawsze nieszczęściem, nie jest nigdy sama przez się rozwiązaniem zagadnienia.

Dewaluacja jest możliwa tam, gdzie jest zaufanie do rządu (Anglia 31, U. S. A. 33, Belgja 35). Front ludowy, który najwidoczniej tego zaufania nie posiada, nie zyska nic na dewaluacji; zykają zato niektórzy wielcy kapitaliści i spekulanci z których niejeden pozostaje w bliskich stosunkach z wodzami Frontu ludowego.

Warto porównać artykuł p. Tardieu z artykułami, które zaczęły się pojawiać ostatnio w naszej prasie.

wu

Z PRASY NIEMIECKIEJ

Polityczne kłopoty prehistoryków.

(jl) W naukowo-literackim czasopiśmie niemieckim »Historische Zeitschrift« (H. 3. 1936) pojawił się artykuł z dziedziny prehistorii, napisany przez przewodniczącego związku prehistoryków Rzeszy P. Bolko v Richthoffena, z którego przytaczamy charakterystyczne wyjątki:

...Od dawna szczególnie rozchodzi się o przynależność narodową kultury panującej w czasach przed- i wczesnohistorycznych na terenie Niemiec Wsch. oraz sąsiadujących terytorjów. Dla każdego zaś uczonego czy polityka (mniejsza o to jakiej narodowości) powinno być jasnym, że nie wolno do danego terytorium podnosić żadnych roszczeń, na podstawie określenia siedzib szczepów czy narodów w epoce przed- lub wczesnohistorycznej.

,..W niektórych, dla Niemiec nieprzychylnie nastawionych kołach usiłuje się ustawicznie przenieść praojczyznę narodów niegermańskich na teren Niemiec Wsch., osłabić znaczenie Germanów na tym terytorium i wysnuwać stąd wnioski natury politycznej...

Porzuciwszy jednak „Ostdeutschland" autor polemizuje z uczonymi: czeskimi w tym sensie, że w Czechach i na Morawach w czasach przedhistorycznych byli tuziemcami wyłącznie Germanowie, że kultura łużycka nie jest słowiańską!, litewskimi, łotewskimi, estońskimi (jako by kultura bałtycka miała do zawdzięczenia wszystko lub prawie wszystko Germanom), oraz sowieckimi, (których nazywa krótko i niezmiennie „die Bolschewisten").

Nas interesuje prehistoryczno-polityczna polemika autora z polskimi tezami, wysuwanymi przez uczonego poznańskiego, prof. Kostrzewskiego, i naukowe czasopismo „Z otchłani wieków":

,..Pismo to przynosi często nierzeczowe, czysto polityczne i fałszywe poglądy przeciw naukowym tezom niemieckim, nieprzezwyciężone mimo zbliżenia polsko-niemieckiego, a już najmniej pocieszającym zjawiskiem był artykuł, zamieszczony w tym piśmie, gdzie poglądy historyczne Fuehrera zostały określone jako megalomańskie i zagrażające pokojowi.

Stałym wybitnie politycznym celem prof. Kostrzewskiego jest złączenie wszystkich »polskich terytoriów«, do których zalicza cały Śląsk tudzież wschodnią cześć Brandenburgii z resztą Polski... Ponadto w broszurze rozesłanej całej prasie zagranicznej, parlamentarzystom, uczonym, twierdzi, że Niemcy są w Prusiech Wsch. intruzami ze stosunkowo nowszej epoki.

Mówiąc o lingwiście, prof. Rudnickim z Poznania, ubolewa autor:

.. Prof. Rudnicki w sposób wysoce nielogiczny i antyniemiecki zaatakował wyjaśnienia w sprawie rehabilitacji Wandalów, podczas gdy wyjaśnienia te musiały dla każdego objektywnego obserwatora wypaść na korzyść Wandalów.

Artykuł kończy się jednak taką ciekawą uwagą, podaną na marginesie wyszłego niedawno dzieła »Schlesien von Eiszeit zum Mittelalter«;

...Książkę tą należy tym troskliwiej czytać z tej strony granicy (tj. niemieckiej. Red.) Łączy ona człowieka dzisiejszego z jego poprzednikami w kraju i otwiera oczy na własne obowiązki narodowe.

Dowiedzieliśmy się, że jednak czasem prehistoria może się tematem aktualnej dysertacji politycznej.

Heine i... półaryjczycy.

Ciekawe są przyczyny zaatakowania przez niemiecką krytykę naukową obszernej encyklopedii pod nazwą »Grosse Juedische National-Biographie« Winningera, która miała na celu wyliczyć z dodatkiem życiorysów wybitne jednostki na polu wiedzy sztuk pięknych, polityki itd., pochodzenia żydowskiego Wilhelm Grau, autor głośnego (zwłaszcza u nas w pewnym odłamie prasy) dzieła »Geschichte der Judenfrage«, daje nam taką próbkę w kwartalniku »Histor. Zeitschr.«:

Winninger widzi jasność i iskrę piękna tam, gdzie inni widzą tylko cień i brud, ponieważ cho-

dzi o Żydów, którzy go zajmują. Nie należy się dziwić, że w oczach Winningera jest H. Heine najwybitniejszym lirykiem 19 stulecia, Max Lieberman (zmarły niedawno malarz żyd.- niem. Red.), najznaczniejszym przedstawicielem niemieckego impresjonizmu. Daniel Sanders jednym z największych niemieckich lingwistów i leksykografów, zaś Magnus Hirschfelg (słynny seksuolog Red.) upatrywał cel swego życia i całą swą dumę w tym, by naukę niemiecką posunąć naprzód.

Nikt nie zaprzeczy dziś co prawda, że należy żydowską biografią narodową objąć i tych Żydów rasowych, którzy nie przyznają się do religji żydowskiej. Chrzest bowiem pozostawia niezmienione pochodzenie, skłonności, cechy osobiste i charakter. Przecież niewłaściwym jest zaliczać do nich mieszańców... Nie należy zapominać, że na gruncie przynależności rasowej, może się do najstaranniejszej pracy wkraść błąd.

... Ani niemieckiej, ani żydowskiej nauce nie jest obojętne, czy pewna wybitna osobistość należy do żydostwa, czy nie.

P. Grau umieszcza z czystym sumieniem Heinego »w brudzie i cieniu«, po czem stara się umiejętnie skondenzować w półaryjskich organizmach nieżydowską domieszkę krwi, która nie chce w żaden sposób połączyć się z resztą destrukcujnej posoki jewrejskiej.

jl

Academica

Nihil novi.

Z okazji takich «honoris causów» wygłasza przemówienie do ogółu młodzieży akademickiej p. minister WROP, Przemówienie ze względu na sytuację nadzwyczaj poważną jest w tym roku także wyjątkowo szczere i z nadzwyczajną bezpośredniością traktuje sprawy najbardziej istotne dla młodzieży akademickiej. Chodzi mianowicie o grandy i chwilowe zawieszenia wykładów. Ponieważ wiadomo, że «ojczyźniane» argumenty o nadzwyczaj ważnej i trudnej sytuacji najlepiej trafią do przekonania młodzieży, wszyscy więc cieszą się i są przekonani że młodzież zrozumiała i będzie pilnie uczyć się tak, jak to było dotąd.

Jak wiadomo z prasy codziennej, wszystko odbyło się tak właśnie w roku bieżącym. Wiadomo też, że wszyscy wzięli do serca przemówienie: endeków nie ma, komunistów nie ma, ZPMD nie ma, ludowców nie ma. Bractwo uczy się pilnie w dzień i w nocy. A w listopadzie, proszę państwa, zapraszamy na rytualne bicie Żydów, bo inaczej ojczyzna w nie bezpieczeństwie.

Inauguracja... problemów.

[Or] Sztywno - uroczysty pokost, drzewka u wejścia do westibulu, drzewka w auli, eleganckie mundury pedlów. W złoconych »na glanc« guzikach odbijają się umyślnie zapalone światła. Jasne plamy żarówek na tle ciemnego westibulu, gromady ludzi wchodzących, wychodzących, dają zzewnątrz pozór świątyni.

Inauguracja w świątyni nauki.

Niezależnie od niepowszedniej atmosfery, oficjalnej czerni, purpury, tóg, i biretów profesorskich, zaproszonych dostojników, »wygalantowanych« woźnych oraz wstępu »tylko za biletami« (oczywiście do auli) przewalają się przez korytarze uniwersyteckie wraz z szarą ew. wyszarzałą bracią akademicką, powszednio - nieoficjalne problemy: mieszkań, obiadów, czesnego, skryptów.

Biedne problemy! Ich inauguracja odbywa się w stosach karteczek na rozmaitych oknach, listów, ofert skryptowych, współlokatorskich, mieszkaniowych »z wejściem od przedpokoju« itd,

Ale są jeszcze inne problemy. Problemy, zdolne wejść do auli nawet w czasie uroczystej inauguracji i umieścić się wyżej, niż wszyscy zaproszeni dostojnicy — na kartkach rektorskiego sprawozdania.

Różną one noszą nazwę. Jedni zwą je „barbarzyństwem", inni zdrowym odruchem Niewiadomo zresztą co kto lubi, a ludzie są, jak wiadomo, omylni. Mylić się mogą zwłaszcza, gdy zasiadają na fotelu ministerialnym WROP i są braćmi. Vide ustawa o szkołach akademickich która wraz z nazwiskiem jej twórcy była tego uroczystego przedpołudnia tematem wielu ciężkich od goryczy zdań, padających »ex catedra", nietylko ku miejscom siedzącym, lecz jeszcze dalej, ku końcowi sali. Tam »na stojąco« słuchali ci, co »wnet zapełnią sale wykładowe, seminaria i laboratoria«, jak głoszą rozmaite ulotki (których zresztą inauguracja odbyła się jeszcze przed połową miesiąca).

Szybko, niewyraźnie i cicho ulatywały słowa sprawozdania rektorskiego: zmarli, kongresy, delegacje naukowe, habilitacje, stowarzyszenia. Ale nad wszystkim zaciążyły nieszczęsne, pierwsze słowa o »niepomyślnym roku«. Problemy, problemy. Dlaczego z żalem i goryczą mówiono o ograniczeniu autonomii uniwersyteckiej („na szczęście" nie zastosowanym), dlaczego mówiąc o studenterii wykrojono umiejętnie Żydów, dlaczego przewinęły się reminiscencje z dni, które „wymagały czasowego zawieszenia wykładów"?

Może to czyniło atmosferę na sali minorową i powodowało, prócz wspomnień, drogą asocjacji... przeczucia.

Wiadomo, obok „jesiennej przeszłości» egzystuje i «jesienna przyszłość».

Narazie jednak na inauguracji panował nastrój powagi. U dołu czerń i fiolet, a na wzniesieniu rektorska purpura i gronostaje Słuchali profesorzy. w togach, biretach, dostojnicy kościelni, świeccy, publiczność siedząca (przeważnie urzędnicy uniwersyteccy, trochę naukowców), a na samym końcu ci, od których

zależy . . . nastrój sprawozdań rektorskich.

Wreszcie nastąpił punkt kulminacyjny. Nowy rektor odebrał symbole najwyższej władzy uniwersyteckiej, berło i łańcuch.

Serdeczne życzenia ustępującego rektora, przede wszystkim «silnego dzierżena tych symbolów», towarzyszyły temu ceremoniałowi. Słowa podziękowania, nadziei, wiary w przyszłość, wypowiedziane przez nowego włodarza U. J. brzmiały wyraźnie, donośnie: «Jedynie niebezpieczeństwo ojczyzny zdolne jest oderwać młodzież od warsztatu pracy». Ale, jak wiadomo . . . ogół ludzki lubi nieraz słowom wzniosłym nadać sens opaczny. Przyszłość pokaże, czy optymizm jaki zapanował na sali w chwili objęcia berła przez nowego rektora, był uzasadniony — czy «problemy» pozwolą długo żyć nadziejom, zrodzonym na inauguracji 573 roku U. J.

Dwukrotnie wstawała publiczność na dźwięk pieśni, gdy chór śpiewał »Gaude-Mater« »Jeszcze Polska«. Za trzecim razem porządek rzeczy był odwrócony. Śpiewać zaczęto, gdy wszyscy powstali do... wyjścia. — Tym razem śpiewano »Hymn młodych«. Postąpiono zręcznie dyplomatycznie, by sfer oficjalnych nie wprawić w zakłopotanie, a poza tym inauguracja powinna przecież odbyć się w zupełnym spokoju.

Problemy nabiorą temperamentu dopiero... późną jesienią.

Żywe słowo.

Dnia 9 b. m. odbył się w sali Kopernika U. J. wieczór inauguracyjny Koła Przyj. Żyw. Słowa Stud. U. J.

Przemawiał Wł. Bodnicki, który wyszedłszy ze zdania Starowolskiego: »w Polsce nie może się nazywać obywatelem, a nawet śmiało powiem, Polakiem, kto o rzeczy jakiejkolwiek poprawnie - ozdobnie mówić nie umie« przedstawił stan żywego słowa w dawnej Polsce i wskazał na jego znaczenie dzisiaj.

Recytacje, które miały dać przegląd pracy koła i dlatego niektóre z nich były powtórzone z innych wieczorów, stały na wysokim poziomie, zwłaszcza nowela Tetmajera »Matka« w wykonaniu A. Augustynka. Ciekawe charakterystyczne i groteskowe ujęcie pewnych utworów dał C. Dylowicz. Z recytatorek ciągle na pierwszem miejscu stoi p. M. Adamska.

Z klubu „Voltów"

»Volty«, dawny »Litart«, zrzeszające młodych literatów U. J. ogłosiły konkurs na nowych członków. Warunki konkursu ogłoszone są na tablicy klubu w Coll. Novum. Prace należy przesyłać pod adresem klubu do dnia 1 listopada br.

Nadesłano

Meissner Janusz — Opowiadania lotnicze. Kraków 1936. Nakład Towarzystwa Szkoły Ludowej. Str. 151. Cena 4zł.

Na fundusz prasowy ofiarowali:

Tad. Bohdanowicz— Oroszeny, Kraków 5 — , B. Rosenbaum, Sosnowiec 5' - -, A. Goldflis, Sosnowiec 5' - -, J. Gaik, Sosnowiec 10' - -, Polska Konwencja Węglowa, Katowice 30' - -' A. Deichsel, Sosnowiec 20' - -, A. Gaik, Sosnowiec 3' - -, dyr. J. Przedpełski, Sosnowiec 10' - -, H. Czechowski Sosnowiec 10' - -, dyr. St. Gadomski, Sosnowiec 10' - -, J. Langer, Sosnowiec 2' - - zł.

CENY OGŁOSZEŃ: **Na okładce**: 1/1 str. 200.— zł., 1/2 str. 100.— zł., 1/4 str. 60.— zł., 1/8 str. 40.— zł. W formie artykułu 50% drożej. Za zastrzeżenie miejsca dalsze 25%. Na pierwszej stronie okładki ogłoszeń nie umieszcza się.

Prenumerata miejscowa 2·50 zł., zamiejscowa 3·50 zł.

Redaktor odpowiedzialny Pustelnik Władysław. Wydawca Jurkiewicz Jerzy. Redaktor naczelny Kański Andrzej.

Adres: Karmelicka 33 I. p. Tel. 148-17. Konto PKO. Nr. 415-385.

Drukarnia »Record«, Kraków, ul. Lenartowicza L. 6. Tel. 136-91.